№. 24. 15. Czerwca. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k.— Pieniądze przesyłaja się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**«

O bohaterstwie Polaków za granicą w 16. wieku.

. . . . Szczęśliwem wojskiem postronni to zwali,
Gdzie Polacy z innemi narody bywali.

Mikołaj Rej, w Zwierzyńcu.

Niedawnemi czasy opowiadał nam świadek naoczny, stary żołnierz polski, ciekawy ustęp z swoich wspomnień wojennych. Było to w czasie powstańczych ruchów w północno-zachodnich Włoszech. Kilku Polaków przebywających na pograniczu francuzkiem, ruszyło czemprędzej na *sukurs* Włochom. Zszedłszy się z pierwszą nieuorganizowaną jeszcze garstką powstańców, zostali wszyscy oficerami okrzyknięci. Wkrótce zbliżył się mały oddział nieprzyjaciół. Naszym nowym oficerom szło tembardziej o wyprowadzenie swoich Włochów do boju, ile że nieprzyjaciel był znacznie słabszym, zwycięztwo pewnem. Komenderują więc po włosku, rzucają się sami naprzód, ale Włosi, ledwie kilkanaście kroków postąpiwszy, ani rusz dalej! Staneli przestraszeni, tylko spokojnem zachowaniem się mniej licznego nieprzyjaciela od zupełnej rozsypki powstrzymani. Oficerowie polscy dają im przyjść do siebie, przedkładają łatwość zwycięztwa, ponawjają atak. Tożsamo tchurzostwo. Im bliżej nieprzyjaciela, tem większa trwoga we Włochach. Dziwią się sami swej nieodwadze, tłumaczą ją sobie istnem oczarowaniem, lecz nie wiedzą, jak mu zaradzić. Natenczas jakiś stary Włoch, rodzaj wróżbity, przedstawia swoim kolegom, czyby nie lepiej poszło, gdyby oficerowie polskiej komenderówki spróbowali. Ucieszeni wynalezieniem tego niezawodnego czaru na czary Piemontczykowie nalegają z entuzjazmem na oficerów, aby ich po polsku do boju wiedli, oficerowie z uśmiechem czynią zadość ich prośbie, Włosi uderzają jak lwy — nieprzyjaciel pobity.

W 16 wieku, gdy ze wszystkich ziem polskich Podole najwięcej od Tatarów cierpiało, słynął w tej, jak ją nazywano, »akademji rycerstwa polskiego«, w tej »Padwie polskiej«, obok trębowelskich Pretficów, wojsławickich Zaklików, straszny dla Ordyńców Frączek Goślicki. Całe życie ubiegło mu w twardych zapasach z pohańcami. Nie dość na tem — przyprawiając Tatarów przez lat kilkadziesiąt o gardła, przyszło mu nareszcie dać im w zamian i swoje. Zginął oskoczony od nieprzejrzanych tłumów. Wielka była radość zwycięzców. Zdało się im, że ubili nie człeka, człeka pobożnego i bogobojnego, jakim był w rzeczy, lecz spólnika złych duchów, lecz czarownika rycerskiego, lecz czorta w skórze Lacha. W takim zaś razie umazanie się juchą zabitego, umoczenie zbroi w jego krwi skrzepłej, udzielało według orjentalnych wyobrażeń takiej siły nadludzkiej, takiej odwagi, takiegoż bohaterstwa, jakiem stał się strasznym zabity. Zadają więc tysiące ran Lachowi, dotykają się wszyscy ran jego, mażą się krwią bohatera, aby oręż posoką polską zbroczyć, serce męztwem polskiem zapalić.

Tak mocną, aż do zabobonu posuniętą wiarę umiał sobie rycerski duch narodu dziś i niegdyś u wszystkich ludów postronnych zjednać. I nie dziw, że dziś wzbudza, gdy przy powszechnym podupadnięciu rycerstwa, rycerskiego rzemiosła w całej Europie, kilka ostatnich wieków ciągłego zbrojnego pochrzestu w Polsce, tyle na wszystkich pobojowiskach europejskich przelanej krwi polskiej, tyle różnym narodom wyświadczonych posług wojennych, całej Europie słuszne uznanie rycerskiego ducha synów Polski zaszczepić mogło. Lecz jak krew Frączka Goślickiego i ów dwu-wiersz Reja poświadcza, było toż samo już i w 16 wieku. Już i w 16 wieku, gdy wszystkie ludy europejskie jeszcze średniowiecznem awanturnictwem rycerskiem, średniowiecznem bohaterstwem pałały, słynął oręż polski głośno po zagranicy, poczytywało się szczęśliwem każde wojsko postronne, w którem Polacy walczyli. A ta zaleta oręża polskiego okazuje się tem znamienitszą, ile że on nie potrzebował dopiero za granicą pola do sławy szukać, miał dostatek wrogów do zwalczania w własnej ojczyznie, i nie zaniedbując domowego względem nich obowiązku, ścierał się z nimi bez przerwy jednocześnie za granicą i w kraju.

W tej mierze cnota odwagi narodowej wiąże się z drugą narodową cnotą, z duchem niesienia braterskiej wszędzie pomocy. Jakkolwiek własne karki w niebezpieczeństwie, jakkolwiek niedola własnej grozi dziedzinie, nie sposób narodowi nie pospieszać z pomocą, gdzie jej wzywają, nie stawać z istotnym, czasem nawet tylko złudnym ra-

tunkiem, gdzie go potrzeba i nie potrzeba. Jakoż odkiedy mała pierwiastkowa nadwiślańska Lechja przez posunięcie granic wschodnioeuropejskiego barbarzyństwa od Wisły po Dniepr i Dzwinę, przez zrośnięcie się z szeroką Litwą, wielkiem wschodnio - europejskiem państwem się stała — od tego powtórnego narodzenia się Polski przyozdobiła się historja polska dwoma wielkiemi bitwami zagranicznemi, które ofiarą klęski i chwałą zwycięztwa służą najświetniejszem świadectwem tych obudwu cnót narodowych — bitwami warneńską i wiedeńską. Jak według pięknych słów Bielowskiego stara stolica polska Kraków właściwą sobie ozdobą dziejowej sędziwości, dwoma starożytnemi mogiłami, nad wszystkie stolice europejskie przyświecca, tak i ta nowa historja polska, przyozdobiona u swego zarania i u swojego schyłku pobojowiskowemi mogiłami Warny i Wiednia przybiera do nich dziwnie wspaniałego charakteru i wdzięku. Mogiła warneńska to mogiła poświęcenia się Wandy — mogiła wiedeńska to mogiła zwycięzkiej chwały Krakusa, co przytarł smoka, tak groźnego niegdyś smoka xiężycowego. Obie też te mogiły, te światłe graniczne szczyty naszej nowszej historji, te najokazalsze pomniki zagranicznego, bratnio - pomocnego bohaterstwa Polaków w 15 i 17 wieku, obejmują w świecące ramy obraz takiegoż bohaterstwa w wieku 16, obraz, który tylko w najogólniejszym rysie zakreślić tu możemy, gdyż szczegółowe wypełnienie i ucieniowanie tych rysów przeszłoby daleko obręb dziennikowego wspomnienia.

Bo zaiste cóż to za obraz! W jakąż nieprzejrzaną odległość miejsc roztwiera się jego przestrzeń! Poza polne progi domowe sięga ona naprzód staropolskiej ojcowizny, Szląska, hołdownej Wołoszczyzny, pobratanych z Polską spólnością kilku królów krain węgierskich, rozciąga się dalej na wschód, w głąb Moskwy, na północ do Szwecyi, na południe do Rakuz, posuwa się jeszcze dalej, ku południowi do Włoch i dalej na morze śródziemne i morze czarne, i jeszcze dalej, aż za morza, na wybrzeża Synopy i Trebizondu, ku palmowemu porzeczu Jordanu, ku murzyńskim ziemiom Afryki, aż po ostatnie barbarzyńskie krańce znanego świata! A na tej niezmierzonej dalekich, obcych krain przestrzeni, na polach Mohaczu, gdzie gwiazda czesko - węgierskich Jagiellończyków zagasła, na polach po raz pierwszy od Turków oblężonego Wiednia, na krwawem pobojowisku Pawji, na falach Lepantu, w różnobarwnym tłumie rycerstwa całego świata, w różnostronnej obronie krzyża i wiary, połyska polski oręż Konstantynów Ostrogskich, Przecławów Lanckorońskich, wielkiego odstępcy Glińskiego, wielkich Tarnowskich i Zamojskich, zuchwałych Łaskich, wiernego Wiśniowieckiego, Nowodworskich i tylu innych!

Chcąc sobie ułatwić przegląd tak mnogich imion, pobojowisk i czynów bohaterskich, należy rozporządkować je według charakteru wypraw wojennych, w których nasi bohaterowie występują. Sąto poczęści powszechne wyprawy narodowe, poczęści pomniejsze wyprawy pomocnicze, podjęte już to z rozkazu lub upoważnienia królewskiego, już to przez zbrojne poczty prywatne, poczęści wreszcie wyprawy czyli raczej rycerskie pielgrzymki pojedyńczych młodzieńczych wojowników, szukających za granicą nauki wojennej, chwały swojemu narodowi, krzyżowej w wojnie z pochańcami zasługi.

W rzędzie powszechnych wypraw narodowych 16 wieku najznamienitszą jest wyprawa moskiewska. Podniecona duchem dzielnego Batorego, pomknęła się ona pod wodzą Zamojskiego, po drodze Połocka, Wielkich Łuk, Starodubia, Starej Rusi, daleko w głąb nieprzyjacielskiej ziemi, poza Wołgę pod samą Moskwę. Zajaśniały wniej prócz wielkiego imienia hetmańskiego imiona Mieleckiego, Andrzeja Sapiehy, Filona Kmity, Radziwiłłow, Zborowskich. Porażając grozą swego zwycięzkiego ramienia kraj cały, postępując śród ognia bitew i pożog bez oporu coraz dalej i dalej — „aże pod nos samemu w. kniaziowi kurzyli przez kilka dni na co z żałością swą wielką z okna patrzał, gdzie napatrzył się ogniów, które w półtore mil od niego nadalej gorzały. Nawet był w takiej trwodze, że żonę swą młodą wysławszy, i syny i żony ich, sam już miał wodą uježdžać za nimi“... precz z swojej Moskwy, z Europy, w kałmuckie stepy Azji, do naturalnego źródła swojego despotyzmu i barbarzyństwa.!

Wróciwszy po zażegnaniu moskiewskiej burzy przez jezuitę znad brzegów wschodniej Wołgi dodom, wyprawia się szlachta po śmierci Batorego pod wodzą w hetmana i kanclerza na zachód, do staropolskiego Szląska przeciw odepchniętemu przez większość narodu pretendentowi, arcyxięciu Maxymilianowi. Tam pod murami Byczyny, niemieccy grafowie, mimo pomocy domowych pocztów rodu Zborowskich, od polskiej szlachty jednem natarciem rozgromieni, a zamknięty w Byczynie arcyxiąże musi chcąc niechcąc w korne układy, układy na papierze, z niemiecka „czarno na białem“. Wszakże w całym tłumie zwycięzkiej szlachty przyzwyczajonej krwią nieprzyjacielską lub swoją własną układy pisać, ani pytaj o kancellaryjne przybory, o papier, *inkaust* i pióra gęsie. Na szczęście jakiś wczorajszy sekretarz kanclerski a dzisiejszy w pancerzu i szyszaku towarzysz boju, wytrząsł z siebie kawałek ołówka czy lubryki, a jakiś *ojciec* kapucyn przy szabli na koniu, jakiś nowy xiądz Mikołaj Zamojski, „syn Florjanów, z Skokówki, Jelitczyk“, coto ongi na Podolu, najzawołańszych harcowników wyprzedzał, aby „Turczyna z konia zrazić“, wydarł kartę z brewiarza. Tem narzędziem, na tym brudnym szmacie bibuły nakreślił pan hetman kilka prawdziwie hetmańskich słów układu, słów poddania się bez warunku. Arcyxiąże ołówkiem w niewolę wzięty.

Prócz tej wyprawy moskiewskiej i byczyńskiej nie nastręczał spokojny w porównaniu z swoim następcą wiek szesnasty całemu narodowi mnogich do popisywania się, zagranicą sposobności. Temci głośniejszemi, acz dziś pobladły w pamięci, były pomniejsze wyprawy pomocnicze Pomagały one własnemu królowi Zygmuntowi III. do objęcia korony szweckiej przeciw stryjowi Sudermanowi — pomagały Jagellończykowi Ludwikowi, panu Czech i Węgier, przeciw potędze ottomańskiej — pomagały braciom habsburskim cesarzowi Karolowi i królowi Ferdynandowi przeciw przemocy Solimana, który już Wiedeń oblęgał — pomagały wreszcie różnym chrześcijańskim hospodarom wołoskim przeciw nieprzyjaznym Polsce i chrześcijaństwu rywalom, osadzanym na wołoszczyznie przez Turków.

W wyprawie z Zygmuntem III. do Szwecyi wsławił się wojewoda hełmiński, Jan Wejer, syn głośnego w 16 wieku wojownika, Ernesta. Nagłe opanowanie Sztokolmu, kilkokrotne na morzu i lądzie zwycięztwa nad rokoszanami szweckimi, zupełne w końcu przytarcie nieprzyjaciół Zygmuntowych, dały Szwedom poznać broń polską, dały im przeczucie śmiertelnej niebawem klęski kirchholmskiej.

W wojnach turecko-węgierskich wyruszył naprzód Jan Tarnowski z sześcią tysięcy za karpaty. Niezwłocznym tego skutkiem było cofnięcie się Turkow i ofiarowanie przymierza Węgrom. Gdy Węgrzy z poduszczenia dworu rzymskiego ofiarą tą wzgardzili i bez dostatecznych środków odporu do czwartego roku bój przeciągnęli, przybył im znowuż w pomoc Lenart Gnoiński, herbu Warnia, z półtorem tysiąca polskich ludzi. Pod Mohaczem przeciw radzie Gnoińskiego, »biegłego w rycerskich sprawach człeka« wysunęły się zuchwałe wojska Węgierskie zbyt daleko przed nierównie liczniejsze zastępy Solimana. Przeco ogarnięte zewsząd od nieprzyjaciela, uległy do razu przemocy i albo trupem pole usłały albo wsromotną poszły rozsypkę. Lenart Gnoiński ze swemi Polaki dał gardło przy młodym Jagiellończyku Ludwiku. Byłato dla rodziny Jagiellońskiej druga Warna — dla Węgrów grób ich samoistności politycznej — bo nieszczęśliwszy od swego dziada stryjecznego Warneńczyka poległy Ludwik, nie zostawił żadnego syna ni brata, siostra zaś Anna zaślubiona była z Habsburgiem.

Wypłaciwszy Węgrom na polach Mohaczu dług sąsiedniego braterstwa, spieszą Polacy znowuż, w lat dwa r. 1528. temuż Habsburgowi Ferdynandowi na pomoc przeciw osmańskiemu zwyciezcy. „Przybyło Polakow dobrze ćwiczonych trzy tysiące. Wszyscy się u Wiednia (oblężonego od Turkow) po lewej stronie Dunaju rozłożyli. Soliman gdy o tem usłyszał, chociaż jeszcze nie była tego potrzeba, i miesiąc wrzesień był suchy, nazad do Węgier jął uciekać i do Budzynia się wrócił. A niźli się ruszyć miał, wysłał 12 tysięcy Turkow . . . ale ich Polacy z Węgry na lekkich koniach dogoniwszy tak dobrze gromili, że ich na miejscu 9 tysięcy poległo. Gdzie Polacy wielką sławę odzierzeli i onym prawie samym to zwycięztwo przyznane było". . . Gdzież jednak dzisiaj pamięć, ... tej pierwszej przy odsieczy Wiednia pomocy!

Jeszcze obfitsze w czyny rycerskie, w cudowne dowody bohaterstwa były prywatne wyprawy Łaskich i Wiśniowieckich na wołoszczyznę.

(Dokończenie nastąpi.)

O śnie.

Przez Władysława Z . . . .

I.

O czemże już nie myślano i nie pisano w świecie. Człowiek jak nurek zapuszczał się w ocean bijącej do koła zmysłów jego rzeczywistości, po kosztowną perłę wiedzy, i wszystkie zjawiska zewnętrznego świata, wszystkie ciemności starał się rozświecić pochodnią swego rozumowania. Gdzie najtrudniejsze zagadki leżały przed nim, gdzie najdziwaczniejsze, niepowiązane z sobą niczem pojawy wirowały bezładnie, wszędzie on śmiało uderzył myślą, dobadał przyczyn, dopatrzył celów. Słowem niby starożytnik rozwijał ciemne owych zagadek mumje, okiem pojęcia póty się w trupie wpatrywał lica, aż mumja nowem życiem błysnęła, przemówił hieroglif. O ziemi i o gwiazdach, o sobie, o społeczeństwie i o Bogu, o miłości i żądzy, o woli i o rozumie, o wszystkiem pisano i rozprawiano. Ty sam Tygodniku umieściłeś szeroki traktat *o Nierozumie*, a tysiące innych przed tobą i po tobie przeprowadzali w praktyce twoje teorje. *Czas* krakowski acz sam często niegrzeczny, salonowiec z rodu, pisał *o grzeczności*, a czemużbyśmy my nie mieli napisać słów parę *o śnie*.

I niech nam nie biorą za złe nasi czytelnicy że w czasach takiej ponurej, takiej poważnej treści jak są dzisiejsze, w których społeczeństwo zadrgnęło w swoich posadach, i tysiące głębokich myśli i czczych famtasmagorji czeka rozwiązania, kiedy Hamletowskie *być nie być* w konwulsyjnem i rozpaczliwem wysileniu przeciągnęło samem sercem południa i północy, gdy świat krwią i westchnieniem nową kolej doświadczeń przebywa, zrywa się o krok jeden naprzód w przyszłość dziejową, nie miejcie nam za złe czytelnicy, że z tego ogólnego, ochmurzonego widnokręgu my chcemy oderwać się na chwilę w jaśniejsze strony, w obłoczą, kaleidoskopową snu różnobarwność wpatrzeć się okiem zmęczonem ciężką rzeczywistością. Nie miejcie nam za złe, jak nie zazdrościcie więźniowi szczypty wiosennego powiewu, którym na chwilę odetchnie pierś jego strudzona. A potem wpatrzcie się jeno, a ujrzycie że sen ważniejszą stronę zajmuje życia, niżbyśmy na pierwszy rzut

oka sądzili; — a cokolwiek jest w życiu i w świecie, i cokolwiek jakibądź wpływ na postać jego wywrzeć jest w stanie tego wewnętrzne znaczenie zawsze warto będzie oglądnąć i na jaśni postawić. Patrzcie! świat zdaje się w ciągłym ruchu i w ciągłej czynności, rzeczywistość ogarnęła człowieka i zdaje się tak doskonale wypełniać wszystko na około swym ruchem i swojemi pojawy, że szpilki niema gdzie dorzucić, a w tem wszystkiem, ileż ułudy, bezwładności, snu, ileż czczego obłoku wypełniającego gwiaździstą przestrzeń rzeczywistości—prawdziwy przywid, miasta stepowe po których nic nie zostanie prócz piersi wysuszonej tęsknotą. Niby szachownica z białych i czarnych pól ułożona tak życie całe człowieka złożyło się w przemienne pasmo snu i rzeczywistości, sen wypełnia połowę tego życia i uroczą nieprzełamaną potęgę trzyma je pod swą władzą. Sen orzucił tęczę swoich obrazów na najohydniejsze nieraz ustępy rzeczywistości, wybielił lico zbrodni, ukołysał serca bijące męztwem, uśpił dłoń orężną, piersi pancerne, nieraz goryczą przeciągnął po serc wyschłej pustyni, pokrzyżował nadzieje, wywiódł na bagna, w rozpaczy aż zostawił dusze ocucone rzeczywistością, i powiedzcie czy nie warto o śnie pomówić?

Co jest sen, jaki jego związek z rzeczywistością, jaki wpływ na nią wywiera, jakie ma znaczenie w tym ogólnym ustroju światów, gdzie źdźbła na próżno niema rzuconego, oto są pytania nastręczające się na samym wstępie naszej rozprawy o śnie.

Świat zewnętrzny podając bezpośrednio wrażenia zmysłom człowieka, sypiąc za pomocą nerwów i tkanki mózgowej w duszę jego massę coraz odmiennych najrozliczniejszych obrazów, budzi poznanie i wiedzę w duszy, zostając tym sposobem w ciągłym, wzajemnym z nią stosunku. Ale są chwile, i te chwile połowę życia człowieczego stanowią, w których wyczerpuje się wewnętrzna siła nerwów zmęczonych ciągłą strażą duszy, zbezwładniają się i zamykają na zewnętrzne wrażenia, poczynając żyć jedynie życiem wewnętrznem, roślinnem, uzasadnionem wyłącznie na wzajemnem oddziaływaniu krwi, ciała i soków, życiem pokarmu i wypoczynku do nowej pracy na zewnątrz. Przestają zmysłów oknami wstęgi obrazów napływać w tajniki duszy i trząść tkanką mózgową. Wówczas życie nieśmiertelnej i niespoczywającej duszy, w głębi własnego jej wnętrza bije bezustannem pasmem obrazów, nie zostających w żadnym związku z zewnętrzną rzeczywistością, z źródeł wiecznie świeżej fantazji i pamięci. Kolorytem osobistych uczuć barwione, według praw asocjacji rozwijają się całe pasma coraz nowszych, dziwaczniejszych obrazów, biegąc bez hamulca, bez przerwy coraz to szerzej i jaśniej, lub zwężając się w koło brudnych poszeptów samolubstwa i namiętności. Sen i rzeczywistość, dwa pasma nie trącające się wzajem, bo wrota zmysłów, jedyne wzajemnego zetknięcia drogi, zawarte, biegą oddzielnie w najprzeciwniejsze strony; rzeczywistość rozwijając pasmo pojawów swoich zawsze jednostajnie według odwiecznych praw i zasadniczych urządzeń rozumu, sen według zachceń fantazji co złotą ręką potrąci go w najdziwaczniejsze zachceń i pomysłów kraje. I to jest istotną różnicą obojga. Rozum ze ścisłą, żelazną koniecznością praw swych urządził i ujął w karby rzeczywistość. W śnie, w rozrzuconych bezładnie przed okiem rozmarzonej duszy pojawach, ta właśnie rozumu siła najdalej w głąb' ustąpiła, i tak słabo, niewyraźnie dotyka ręką swą strón rozburzonych fantazji, że obecności jego domyśleć się prawie nie można; i gdy uczucie maluje tę różnobarwną panoramę, namiętność dyszy w nią ciemnym i palącym kolorytem, wola nawet i siła skrępowana bezwładnością nerwów zrywa się częstokroć i drga konwulsyjnie, rozum jeden bezczynny świadek jakby niechciał przerywać dziecięcych zabawek przyjaciółce fantazij, odsuwa się na bok, do poważniejszych spraw nawykły, z daleka czasem tylko z uśmiechem poglądnie na obce mu onego świata dziwactwa. Gdyby nie to odsunięcie się rozumu, tego przemożnego pierwiastku w układzie światowym, sen i rzeczywistość byłyby jedno i to samo. Według praw rzeczywistości rozwijające się pasma snu, do jednakich prowadziłyby wniosków, też same wyradzałyby skutki. Ale przeciwnie się dzieje. Mogą być sny pełne cudownej szlachetności i zapału, sny z Nieba dla szczęścia ludzkości zsełane na ziemię; lecz zawsze im braknie tej ścisłej żelaznej logiczności, bez której w dym rozwiewają się wszystkie usiłowania w niwecz idą i rozpryskują się najgorętsze nadzieje.

W wiekach dawniejszych, świętszych i bliższych Nieba, Bóg we snach objawiał się ludzkości; — wieszcze szerokiej przyszłości obrazy, we snach Abrahama i Jakóba Pana potęga nieograniczona leżały przed oczami pokoleń modlących się i dziewiczych. Tymczasem świat niewiestny, ascetyczny świat wiary i modlitwy zaginął i skończyły się cudowne, natchnione sny rodu człowieczego, które bezpośrednio świadczyły mu o Bogu i prawdach żywotnych. Dziewiczość duszy ustępując, ujęła i snóm kolorytu wieszczego, osłony z Nieba. Sen przybierając wszystkie barwy łamiącego się w tysiączne kształty i przychodzącego tysiączne fazy, duchowego usposobienia ludzkości, sen z wieszczego natchnionego, często zbrodniarz lub zbrodni karciciel stał się jedynie burzą krwi rozognionej, gorączką lub wypoczynkiem.

— Co jest sen? zapytaj lekarza a on otwierając przed tobą cały cetnarowy ogrom swej wiedzy naraz wtajemniczy cię w najdrobniejsze i najzawilsze życia roślinnego ustępy, pokaże ci każdą kroplę krwi napływającą o mózgu brzegi, anatomicznym nożykiem odsłoni przed tobą każdą nerwów niteczkę, najciaśniejsze komórki i scieżki któremi

sny przechodzą, nabierają mocy lub ciemnieją, stopniują się aż w gorączkę lub zdrowieją. Tak sobie tłumaczy sen umiejętność, tak sobie tłumaczy zbrodnia; i w gorączkach snu okropnego, w strasznych konwulsjach duszy, w męczarniach pod rózgą sumienia wykrzyka Franciszek Mohr- Sny pochodzą z brzucha. Ale są sny inne, nie cięte skalpelem, zbrodni nie znanę co gdy uderzą w serce, to serce jak siatka żelazna wyda dźwięk silny i pełny, przy którego odgłosie świat pójdzie naprzód, ziemia odżyje, dźwięk co nurtem elektrycznym, podziemnym wszystkie serca przebiegnie, myśli potrzęsie..... Bo dzisiaj świat z duchowego i niewiestnego, który miał proroków i natchnienia stał się ciężki i cielesny, Bóg ustąpił z ziemi, natomiast duch dziejowy, opiekuńczy stróż pozostawiony przez Boga, by pielęgnował ducha ludzkości i pierś upadającą odziewał wiarą i żelazem zseła jej sny, co każdowiekowe otrząsną z niej pleśni i zieloną koroną owiodą jej odmłodzone czoło. Sny mniej spokojne i białe niż przedpotopowe, więcej ziemskiemu życiu odpowiedne, ale sny przeto olbrzymiej wielkości, prawdy i pięknoty; sny takie głosem ludzi wybranych, nielicznych bohaterów słowa i czynu, mówią do usypiającej, do zmalałej ludzkości, ich dłonią biją w same tentno wieku i wywołują na jaw co w głębi leżało, i depcą co brudne i podłe, chociażby zbrodnia tygrysiej była mocy i chytrości, a podłość jak powój oplotła się piersią ludzkości. Sny od Boga pochodzą. Sny Sokratesa i Platona, owa niedawna, świeża pamiątka Nieba, w której dusza, niby w rodzinnego powietrza kąpieli czyta swe piękne prawdy-spomnienia o nieśmiertelności, o społeczeństwie i cnocie, sny tylu męczenników i mędrców tylu, wierzcie księgom i poezji: One od Boga pochodzą. Wierzcie i ludzkość ma sny swoje, sny pełne dziewiczej tęsknoty i poezji, nieśmiertelną żądzą wykochane, nieraz krwią opłukane, żelazem wygrane, a owe sny jej wiekowe, te sny nie całkiem senne, ... więcej mają prawdy i Boga, więcej gwiazd rzuciły po swiecie i świętości rozsiały niż całkowite traktaty i księgi o rzeczywistości i prawdzie, niż wszystkie razem z żelazną logicznością i dotykalnem przekonaniem wystosowane pliki nót dyplomatycznych.

II.

Ale patrzmy w życie codzienne, proste, na łąki śród których wzrośliśmy, w zagrodę domową co była świadkiem lat dziecięcych, później młodości, a dziś już może choroby i zgrzybienia. I od początku do końca, w całem tem paśmie boleści i drobnych zgryzot ileż to snów przesunęło się przez ten zmienny widnokrąg zabiegów, starań i żądzy. Kogóż sny jasne i lekkie nie zbudziły do życia. Cudne sny o kochance, o sławie i najcudniejsze sny o ojczyźnie I tak przełamując się w wszystkie kształty, wszystkiemi paląc barwami, od poezji do starości, od żebraka do salonowca, od podłego łakomstwa aż do najpodlejszego poddaństwa duszy sen przeciągnął wszystkiemi stronami życia. A jakże mało snów tych przeszło w rzeczywistość, odetchnęło, ożyło, spełniło nadzieje i wyświęciło tajemnice wnętrza swojego. Jak mało kiedy zostało po nich coś więcej niżeli ból i niesmak niespodziewanego przebudzenia się, żal w duszy i pierś ściśnięta goryczą zawodów a czasami ciało spalone snów gorączkami i zniktzemnienie duszy

I ty sam mój Tygodniku, powiedz, nie mniewałżeś w krótkich dotąd twojego życia chwilach, snów przeróżnych tysiąca z których jedne już się rozwiały w niepowrotnej przeszłości, inne oczekują jeszcze spełnienia. A najprzód począwszy od najmaterjalniejszych snów, tyczących się dotykalnej, cielesnej strony twojego życia, ów sen obiecujący i piękny o sześciuset prenumeratorach, za pomocą których będziesz w stanie zawiązać obszerne korespondencje, opłacić spółpracowników, zebrać w swe ognisko wszystko wytworne i pożyteczne, owe sny że za najpierwszym pojawem twoim najbieglejsze pióra w kraju, ręce najwprawniejsze do sterowania arką narodową, zbiegną się by ramie w ramie z tobą iść w przyszłość; przyznaj, nie śniłoż ci się że wnet gdy odezwiesz się do narodu skołatanego burzą, spragnionego i stęsknionego, to naród w zachwycie poklaśnie usiłowaniom twoim i jak wyroczni posłucha głosu twojego. A jakaż to część snów tych poszła dotychczas w wykonanie!... Ileż to znowu drobniejszych senków, niby śpilek maleńkich kłuło cię przez cały pierwszy kwartał początkowego życia twojego, z każdym nowym artykułem co wchodził w kolumny, z każdym nowym numerem co leciał w świat z za redaktorskiego stolika; a z tych ślicznych, drobniuchnych snów twojej młodości, co tak podmuchiwały zarozumiałość, i głaskały po sercu, sam wyznaj że niejedne rozminęły się z rzeczywistością.

Wszystkie sny nasze częstokroć temu samemu podpadają losowi, i gdyby nie ta częsta sprzeczność snu z rzeczywistością, ile to nieraz uniknęlibyśmy boleście, jak wiele próżnych oszczędzili sobie zachodów, świat bliższy szczęścia śmielej kąpał by się w słońcach nadziei, a krew serdeczna co nieraz płynie mu z piersi, nielała by się tak częstemi szlakami po jego drodze. Ale napróżno — Takie już urządzenie świata, taki ustroj duszy. Fantazja pani rwie się naprzód z różową pochodnią swoją a rozum starzec nie zawsze zdąży za nią. Był dzień w którym pan Jan miał sen cudownej piękności, o jakim człowiek szlachetny w najdroższej chwili życia zamarzyć jeno może. Skończyło się na puszczeniu krwi. A od owego dnia

pamiętnego, my wszyscy czarodziejską ręką snu popychani, ileż to przebiegliśmy różnobarwnych kolei, z chęciami pełnemi zapału, z życiem takiem rozgrzanem, pełnem że w piersi zmieścić się nie mogło, na oślep a wrzawnie lecieliśmy snów kolejami. Skończyło się także na upuszczeniu krwi. Odtąd znowu dawna rzeczywistość patrzy spokojnie na nas żałobnych a wytrzeźwionych, równie daleka o lat przestrzeń, bliższa o doświadczenie i jeden więcej stosunek spółeczeński.

I zarozumiałość miewa sny swoje. Śniło się panu Zygmuntowi, że kiedy pan Wincenty, który od młodu serdecznie, całą duszą oddał się pracy i nauce dla dobra ziemi swojej którą ukochał nad wszystko, dla ziomków, dla których wiele się wyrzekł i wiele poświęcił własnych nadziei, że kiedy pan Wincenty pomimo tego wszystkiego, przez brak praktycznego umysłu, bo nie każdemu dane jest być Okonelem, na niewłaściwem sobie polu, śród gmatwaniny zdań, dążeń i stosunków, nie zawsze umiał dorazu wynaleźć najstosowniejszą drogę do spólnego celu, a przeto wpadł czasem na pomysły mniej pożyteczne dla ogółu, mniej odpowiedne potrzebie czasu i położeniu narodu, to już wolno każdemu trącić pana Wincentego kopytem dowcipkowania, zabaczyć jego zasługę około winnicy dobra narodowego i wszystkie błędy, wszystko, złe jakie mogło grozić lub rzeczywiście uderzyć w naród, przypisać nierozumowi pana Wincentego. I w śnie próżnej zarozumiałości zabaczył pan Zygmunt, że każda scisła nauka, każda skrzętnie i z uczciwą gorliwością zebrana wiadomość o własnej ziemi, czyto wyjaśniająca jej powierzchnię i jej własności, czy wykrywająca przeszłość lub jej obecne stosunki, słowem natchniona poezja czy umiejętność, fizyka czy historja, geografja czy polityka, skoro tylko traktowana z głębokiem przejęciem się i zbadaniem swojego przedmiotu, odpowiednio stanowisku dziesiejszemu scisłej umiejętności, nie może jak tylko przyczynić się do pokochania tej ziemi na której wzrośliśmy, której powietrzem oddychamy a pamiątkami wykarmiliśmy dusze. Zadowolony z siebie, i z swojego dowcipu zapomniał pan Zygmunt, że należy rozróżnić pomysł szkodliwy od nieużytecznego, zapomniał wreście że żaden jeszcze jakikolwiek zbiór naukowy nie cofnął wstecz narodowej oświaty, żadna gałąź nauki nie zhańbiła narodu; ale o tem wszystkiem nie było ani wzmianki w śnie pana Zygmunta, któren nigdy nic nie wykładał w starej szkole młodemi piersiami, i nie śpiewał z arfą opartą na Tatrzańskiej skale.

Niema więc miejsca ni chwili w świecie, czyto w obszerny ludzkości popatrzymy widnokrąg, czy w ciasne i codzienne koło drobnostek, od wojen krzyżowych, tych snów pełnych natchnienia, co tyle oświaty przyniosły Europie, aż do dziennikarskiego artykuliku, któren nic nie przyniósł, niema najwęższej scieżki w błędniku człowieczego życia, na której nie potrącilibyśmy o sen i przebudzenie. Ty sam Czytelniku, który zapewno już jesteś mężem dorosłym i wytrawnym, przypomnij niepowrotne marzenia twoje młodości, dni które niby od wschodu złoty pas powstającego słońca świecą na zawsze twojej pamięci, . . . pamiętasz owa czarowna, owa najpierwsza snów twoich kochanka, umiłowana bezinteresownem, głębokiem uczuciem piersi ledwo roztwierającej się do życia, żywą tęsknotą, żywem pragnieniem duszy niedoświadczonej. Te jasne oczy, kasztanowe połyski włosów nieporównanej piękności, lico pełne żywości, białości i gry, ją całą cudowną dziewczynę o leciech szesnastu, o duszy pełnej poezji i żywości, prawda że ją widzisz przed sobą, że znasz doskonale, dziś jeszcze na każde spomnienie o niej serce uderzy gwałtowniej, myśl ogniem i tęsknotą zabieży — Niema wątpienia mój czytelniku, znasz doskonale pannę Herminę.

A znając ją znasz zapewno i pana Jenerała, bo po niezrównanej Herminie stary Jenerał to już najznakomitsza całej okolicy osoba. Wprawdzie dobrać jego może o dziesięć mil oddalone od okolic w których przebywa Hermina ale mimo tego musisz znać Jenerała, bo któż go niezna na dwadzieścia, a nie tylko na dziesięć mil w około. Dziś Jenerał ma dobra wielkie nad Wisłą i nad Sanem, ziemie uprawne i wytwornie przybrane w parki i pałace, jego stada najpierwsze w kraju, on żyje w najwyższych towarzystwach, w których słuchają jak wyroczni zdań jego wytrawnych i jego dukatami zasypują djabełkowe banki.

(Dokończenie nastąpi.)

O Malarzach lwowskich.

(*Korespondencja.*)

Zwiedzając ateliers malarzy lwowskich nie na żart gniewałem się na Czasopisma nasze. Przedmiot tak piękny, tak bogaty, tak zajmujący jak jest malarstwo dawno powinien był zwrócić uwagę dziennikarstwa. Szczególnie Tygodnik lwowski poświęcony głównie literaturze pięknej ma obowiązek zająć się sztukami pięknemi, odzwierciedlić całe umysłowe i artystyczne życie prowincji —

Mamy kilka ognisk oswiaty, kilka punktów gdzie się środkuje duchowe życie Polski. Poznań, Warszawa, Wilno, Kraków i Lwów. Za pomocą dziennikarstwa muszą porozumiewać się z sobą, stanąć niejako w jednej lidze i wspólnie pracować koło wspólnego dobra. Sztuki piękne powinny być pod szczególną opieką literatury, aby znakomitsze utwory jednej prowincji stawały się tym sposobem skarbem całego narodu, byśmy mogli widzić i oceniać ich postępy. Sztuka przez to stanie się popularniejszą, obudzi się zamiłowanie wykształci się dobry smak publiczności. Słowem literatura powinna tchnąć nowe życie w krainę sztuk pięknych zająć niemi ogół, wpoić zasadę: że wy-

kształcenie estetyczne jest nie tylko ważną ale niezbędną potrzebą prawdziwej oświaty.

Dotychczas, pod względem zajęcia się sztukami pięknemi szczególnie malarstwem, czasopisma innych prowincji polskich daleko nas prześcigneły. Niemożemy niczem się usprawiedliwić — Mamy malarzy utalentowanych i znakomicie wykształconych, którzy pracując w swoim zawodzie, śmiało powiem, bezinteresownie pełnią narodową służbę swego powołania. Nieszczęśliwe stosunki kraju, nawet ze wstydem przyznaję, obojętność nasza dla wielu rzeczy, które nieprzynoszą materjalnych korzyści pomimo że piękne, że kształcą umysł i serce, że są chlubą narodu; wszystko to niekorzystnie wpływa na byt naszych malarzy. Szłuszna zatem niezrażających się w swojm zawodzie podać cześci powszechnej.

Bezspornie Rajchan i Jul: Kosak zajmują najzaszczytniejsze miejsca w rzędzie malarzy naszej prowincji; pierwszy głębokiem znaniem sztuki, artystycznym wykształceniem, drugi wrodzonym talentem, wyraźnem namaszczeniem duchowem na mistrzowstwo. Rajchan, nietylko u nas, gdzie tak nisko stoją sztuki; ale obok najbieglejszych malarzy, byłby znakomitym. Technika nieporównana; biegły, doskonały rysunek; koloryt cudny! taki lekki, swieży, ciepły! Z malowideł p. Rajchana tchnie życie, wieje jakaś luba słodycz; portrety jego rysowane i malowane tak sumiennie że nie tylko publiczność ale i artystów zadowolnić powinny. Jedno daje się postrzegać, idealizowanie rysów. Wrodzony gust estetyczny, każe mu czasem poprawiać błędy natury, i arcypowszednią twarz odtworzyć po bożemu. Zupełnie nie mamy tego za złe malarzowi — owszem! więcej nas smuci że p. Rajchan same tylko maluje portrety. W atelje jego niewidzieliśmy żadnego historycznego ani rodzajowego obrazu; niewiemy czy niema zamiłowania w podobnym rodzaju utworów, czy potrzeby życia zmuszają go pracować w zawodzie więcej korzystnym. Bądź co bądź zawsze to nieodżałowana szkoda marnować podobny talent pracą, tak niewdzięczną, chociaż niektóre portrety p. R. śmiało można policzyć do rodzajowych obrazów. Takiemi są: druciarz, portret familijny dzieci samego malarza, portret młodej dziewczyny, pod draperją pąsowych firanek, parę głów starców. O portretach robionych akwarelą nie będziemy mówić, albowiem te mają europejską prawie sławę.

Oświadczając publicznie p. Rajchanowi uwielbienie godne talentu i pracy, serdecznie życzymy by zwrócił się na drogę, gotującą mu w sercach rodaków trwalszą cześć i pamięć.

Wyżej powiedzieliśmy że Jul. Kosaka uważamy za najwięcej uzdolnionego, najgenjalniejszego z naszych malarzy; nie mówimy przezto żeby stał na najwyższem szczeblu sztuki — przeciwnie przy ogromnym talencie, przy natchnionej twórczości, niema artystycznego wykształcenia. Szkice jego są pełne prawdy, życia i siły, ale brak im poprawności rysunku. Do najpiękniejszych jego utworów należy album rosyjskie. Ale p. Juljuszu! pracy, wytrwałości, nauki! Nie namawiam zupełnie byś pracował na innym polu, to na które sam wszedłeś jest bardzo pomyślne i korzystne; nie namawiam do żadnej szkoły; zapatrywanie się na naturę i praca dadzą ci resztę. Ale czas już wziąść się do większych utworów. Niezapominaj że z odebranych talentów trzeba zdać rachunek Bogu i narodowi. Że lepiej jest nic niemieć, niż zmarnować wiele. Niezapominaj że twoje powołanie jest służbą narodową, że mamy prawo wielbić talent, karcić opieszałość.

Mamy nadzieję że p. Kosak przyjmie słowa nasze jako płynące z najszczerszego współczucia. (c. d. n.)

TEATR.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni widzieliśmy dwie sztuki o których milczyć byłoby grzechem. Jedną jest znana *Marja Tudor* Wiktora Hugo, drugą *„Domy polskie w XVII wieku.“* Dowcip humorystów francuzkich: jakoby zasadą Hugona było iż *pięknością jest brzydota;* zdaje się pochodzić od pewnej klasy krytyków niemogących mu wybaczyć odkrycia brzydkiej strony w życiu takich ludzi, których dawniej przedstawiano w świetecznej szacie wspaniałości i zbrodnie ich nawet otaczano jakimś nadludzkim blaskiem.

W. Hugo nietylko rozpędza wszelkie mgły dzielące poziom społeczeństwa od górnej tegoż krainy; ale zpycha niemiłosiernie i nie bez zawziętości często postacie postawione na szczycie społecznego życia, na pole sądu obyczajowego, zestawia osoby stojące najwyżej w składzie społecznym, z temi które stoją najniżej, porównywa ludzi dworu z ludźmi ulicy, pałac z chatą, tron z warsztatem pod względem ich moralnej wartości i godności nie społecznej ale ludzkiej w ogóle. Jestto poetyczne zastosowanie *„praw człowieka,* uiszczenie na deskach teatru Szylerowskiej zasady: *Dzieje są sądem ostatecznym.*

Że ten sąd w *Hugona* dramatach wypada zwykle na niekorzyść wyższej warstwy społeczeństwa to nie wynika ztąd, jakoby i w tych warstwach nieznajdywali się ludzie szlachetni i wielcy. Jestto tylko oddziaływanie to samo wpoezji które się pierwej i równocześnie zdarzyło w życiu społecznym we Francji. Aż po koniec wieku XVIII. poeci nieznajdywali powiększej części bohaterów gdzie indziej jak tylko w najwyższych warstwach społeczeństwa a płaskość i brudotę w niższych. *Hugo* i prócz niego wielu innych z nowszych poetów czynią przeciwnie. Jeżeli tem krzywdzą wyższe warstwy to oddają tylko krzywdę za krzywdę.

Zresztą jak nie poeci ani historycy temu winni że się zapas bohaterów w tych warstwach wyczerpnął, tak też nie od poetów ani hitoryków zależy dodać blasku szczerego tym którzy go się sami pozbawiają—niech będą wielkiemi

niech będą bohaterami, a znajdą się dla nich poeci i historycy.

W Marji Tudor znajduje się podwójna antyteza charakterów. Jedną jest *królowa i Joanna* która, chociaż jest hrabianką *Talbot* z rodu, jednak względem wychowania i całego życia jest dziewczyną z ludu. Drugą jest *Fabiano Fabiani* człowiek pierwotnie z ludu pochodzący ale wyniesiony do szczytu społecznej godności przez zbrodnie, i Gilbert, rzemieślnik charakter namiętny wprawdzie ale szlachetny, zostający przez uczciwość w poziomie.

Te sprzeczne charaktery lubi *Hugo* przedstawiać ku naocznemu porównaniu w tych samych scenach, w walce z jednakowemi namiętnościami.

Tak ciągnie przez cały dramat psychologiczną paralelę, którą oddaje z wielką prawdą (gdzie niegdzie traci przesadą) a często z większą drobiazgowością niż tego tok dramatu wymaga.

Zresztą charakterystyczne jest w tym dramacie użycie mnóstwa scenicznych środków, przyozdobień wyrachowanych wyłącznie na uczynienie zmysłowego wrażenia, jako: przedstawienie dworu królowej w całej świetności, uroczyste prowadzenie *Gilberta* na stracenie i t. p. Wszystko to niemogło należytych wrażeń czynić w naszym teatrze ubogim w świetne (nawet w czyste) dekoracje i stroje, przez co dramat również traci jak przez słabe oddanie pięknej i jędrnej dykcji Hugona.

Co się gry tycze w ogóle we wszystkich artystach spostrzegliśmy jakoweś albo znużenie albo znudzenie — niechcemy rozstrzygać czy to powtarzanie sztuki, czy upał czy małe zapełnienie teatru winne temu; wszelako przemilczyć niemożemy że trudno jest przejąć się charakterem roli, trudno oddać żywo grę uczuć, kiedy kto roli nieumie — a to trafia się niestety najlepszym naszym artystom. Niemożna wymagać aby artysta słowo w słowo rolę umiał, jednak jeżeli go pamięć czasem opuszcza powinien mieć tyle przytomności aby własnym nadrobić konceptem, nie zaś spuszczać się tak zupełnie na suflera żeby się zacinać w mowie, kiedy go dosłyszeć niemoże.

Zarzut nieumienia roli dotyka w tej sztuce najmniej p. Aszperger p. Sułkowskę i p. Smochowskiego. Jednak obiedwie pierwsze były zarówno nielitościwe dla swoich ust, których wykrzywianiem chciały wyrażać wzruszenie. Z głównych ról najmniej nas zadowolnił *p. Łoziński* który zawsze przesadnie deklamował, zamiast mówić z uczuciem. Wszelako uważamy niejaki postęp w grze p. Łozińskiego, być więc może iż kiedyś będzie dobrze grał kochanków.

Korespondencja literacka.

Ze Lwowa. W krótce wyjdzie: Wojna Chocimska, poemat bohaterski w 10 częściach — p. Andr. Lipskiego podwojewodzego sądeckiego podczaszego Chełmskiego. Z ręk. spółczesnego wydał Stan. Przyłecki. Nakładem ks. Henryka Lubomirskiego kur. zakł. nar. Ossol: we Lwowie w drukarni zakładu 1850 w 8ce. 30 ark. ozdob. portretami *Jana Kar. Chodkiewicza, Stan. Lubomirskiego* i Jakóba Sobieska (ojca króla Jana) litogr. tudzież z drzeworytami w texcie (herb Lipskich i Medal dla St. Lubomirskiego w wojnie Chocimskiej wybity). Przy końcu słowniczek mniej dziś używanych wyrazów.

W druku jest dramat *Uriel Akosta* przerobiony z niem. *p. Mik. B. Antoniewicza,* który obecnie pracuje nad oryginalnym dramatem osnutym na historji brata i siostry *Oświęcimów.* Spodziewamy że Autor ten niebędzie dłużej ukrywał w tece dzieł swoich, których ma oprócz wspomnionych jeszcze kilka.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie** przy ulicy krakowskiej pod l. 77.